

Pod wiatr



Anna Kieseewetter

Anna Kieseewetter

POD WIATR

© Copyright by Anna Kieseletter 2009

Korekta: Marta Bluszcz

Projekt okładki: Marek Łukaszewicz

ISBN e-book: 978-83-8166-356-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie II 2023

1.

Mała Justysia siedziała w oknie dużego pokoju. W mieszkaniu było cicho i spokojnie. Ojciec jak zwykle był w pracy, matka poszła na spotkanie z przyjaciółkami do kawiarni. Mała Justysia miała dopiero cztery lata, ale już zdążyła się przyzwyczaić do samotnych godzin spędzonych w domu. Wiedziała, że nie wolno brać zapalek, odkręcać kurków z gazem i wychylać się przez okno. Początkowo, kiedy była jeszcze zupełnie maleńka, zalewała się łzami, kiedy matka od zewnątrz zamykała drzwi wejściowe. Ale z czasem przyzwyczaiła się do tego. Mama jej zresztą tłumaczyła, że też musi mieć coś z życia, a nie tylko zajmować się dziećmi i prowadzeniem domu. Justysia starała się zrozumieć swoją matkę, choć tak trudno jej to przychodziło. Ale nadszedł czas, kiedy polubiła godziny spędzone w samotności. Co tam. Przecież nie wychyla się z okna i nie bierze do rąk zapalek. Cóż zatem może jej się stać? Ojciec nie wiedział o przedpołudniowych eskapadach matki. Pewnie by się złościł. Przecież dawał na dom dostateczną ilość pieniędzy, by można było żyć godnie, nie myśląc o jutrze. W zamian nie żądał wiele: żeby było posprzątane, ugotowane, wyprane i wyprasowane. Te cztery funkcje miała spełniać mama. Ale mama wiecznie gdzieś wychodziła. Pod nieobecność taty. Tak, żeby się o tym nie dowiedział. A najlepiej, kiedy

wyjeżdżał w delegacje. Matka dawała jej jeść, kładła do łóżeczka, a potem znikwała na całą noc. I nie wolno było o tym nawet wspomnieć. Kiedy ojciec wracał, pytał Justysię:

– No i jak było w czasie mojej nieobecności?

– Nudno – odpowiadała Justysia.

A co miała mu powiedzieć? Że matka wracała nad ranem, często kompletnie pijana i waliła się w małżeńskie łóżko, nawet nie zdejmując butów?

Istniał niepisany pakt między Justysią a jej matką. Justysia nie skarżyła się ojcu, a matka jej nie biła.

Justysia patrzyła przez okno w dużym pokoju. Za szybami rozciągało się podwórko, czysto zamiecione przez pana dozorcę, który przychodził zawsze przed świętami trzepać dywany. Zabierał je, zrolowane, pod pachę i potem długo słychać było miarowe uderzenia. Justysia marzyła o dniu, w którym matka pozwoli jej wyjść na podwórze. Tyle tam było miejsc do zabawy. Dzieci sąsiadów grały w piłkę i klasy, zwieszały się z trzepaka, przeskakiwały przez ławki zupełnie, jakby to był kawałek parku, a nie wybetonowane podwórko zwykłej kamienicy.

Jak byłoby przyjemnie bawić się z innymi dziećmi! Niektóre z nich chodziły do przedszkola. Ale ojciec nie chciał, żeby jego córka chodziła do przedszkola. Przecież matka nie pracowała. Ale Justysia myślała sobie, że można by jedno z drugim połączyć, szczególnie, że

matka znikała na całe dnie, zostawiając dziewczynkę zupełnie samą w mieszkaniu.

Justyna rozejrzała się wokół siebie. To był tak zwany duży pokój. Stał w nim na środku stół, pod ścianą – kredens z błyszczącymi szybami, a pod oknem serwantka, gdzie matka wystawiła na widok publiczny zastawę będącą prezentem ślubnym. Na stole leżała serweta zrobiona szydełkiem. Zdejmowało się ją do posiłków i wtedy zastępował ją duży obrus. Pokój ten służył do przyjmowania gości, dwa razy do roku urządzano tu imieniny, raz pana, raz pani domu. Przychodzili wtedy goście, przynosili kwiaty i prezenty, a Justyna czekała na nich w przedpokoju, ubrana w swoją najlepszą sukienkę. Najsmutniejsze były imieniny Justysi. Nie przychodził wtedy nikt, nie było tortu ze świeczkami, ani rozbawionej dzieciarni. Dostawała rano prezent i każdy potem szedł do swoich zajęć, nie przejmując się zupełnie dziewczynką. Nawet nie czekali, aż rozpakuje swoją paczkę. Choć z góry wiedziała, co w niej będzie. Kolejna tania szmaciana lalka albo pudełko klocków.

– Masz cudowne dzieciństwo – mawiała jej matka.

Ale Justyna wcale nie była tego taka pewna. Patrzyła na dzieci na podwórku, jak śmiały się i skakały, zawsze roześmiane, rozwrzeszczane i zadowolone z siebie.

Justyna wiedziała, jakim jest ciężarem dla rodziców, jakim utrudnieniem, jakim ograniczeniem ich wolności. Najczęściej jednak słyszała:

– Idź do swojego pokoju. To są sprawy dorosłych. Nie będziemy przy tobie omawiać naszych prywatnych spraw. Marsz do swojego pokoju. Ale już.

Bo oprócz jadalnego, w mieszkaniu była jeszcze sypialnia rodziców i jej pokój. Nie był to wesoły zakątek. Panował tutaj nienaturalny wprost ład. Wszystko musiało być na swoim miejscu. Jakże chętnie Justyna porozrzucałaby zabawki po podłodze. Usiadłaby wśród nich szczęśliwa, że ma ich tak wiele. To nic, że nie było ich dużo. Ale jeśliby się je wszystkie poukładało wokół siebie, można by uważać, że jest ich więcej niż teraz. Stały poukładane na półkach białej szafki i nęciły swoimi kolorami. Ale Justynie wolno było wyjmować tylko jedną zabawkę i bawić się nią w ciszy.

Bo rodzice nie znosili, kiedy się odzywała. Miała milczeć i słuchać. Chętnie by od czasu do czasu z kimś porozmawiała, ale ilekroć otwierała buzię, widziała surowe spojrzenie matki. To wystarczało. Milkła, zamykała usta i wracała do świata, w którym lubiła przebywać. Do świata swojej wyobraźni.

Patrzyła na rozkrzyczane dzieci na podwórku. Tak chętnie zaprosiłaby choć jedno do swojego pokoju. Ale

rodzice uważali, że te niesforne urwisy nie są dla niej odpowiednim towarzystwem. W związku z tym wyrastała na osobę ciągle przestraszoną i coraz bardziej zamkniętą w sobie. Ale rodzice jakby tego nie zauważali.

Najbardziej tajemniczym pokojem w tym mieszkaniu była sypialnia rodziców. Tam nie wolno jej było pod żadnym pretekstem wejść. Kiedy zostawała w domu sama, pierwszą rzeczą, jaką robiła, było wejście do sypialni. Stało tam ogromne łóżko przykryte białą kapą i duża szafa, w której rodzice trzymali ubrania. Pachniało z niej środkiem antymolowym, który kojarzył jej się zawsze z zimową garderobą. Mijało lato, nastawała jesień, przychodziła zima, powracała wiosna. Ale tylko zima kojarzyła się jej z zapachem naftaliny.

W sypialni rodziców stała jeszcze mała etażerka z lustrem, przed którym siadała jej mama, żeby się umalować. W szkatułce na blacie leżała sztuczna biżuteria – dla Justyny było to prawdziwe bogactwo. Kiedy nikogo nie było w domu, wyjmowała sztuczne perły i szklane brylanty i ozdabiała nimi swoją sukienkę. Ale szybko zdejmowała świecidełka, bo bała się odgłosu otwieranych drzwi w przedpokoju. Nie chciała być na niczym przyłapana. Wtedy może by rodzice założyli osobny zamek w drzwiach sypialni i nie mogłaby już nigdy do niej wejść.

Justyna siedziała w oknie dużego pokoju i patrzyła przez szyby. Na dworze świeciło już słońce, choć jeszcze zwały śniegu bieleły się pod ścianami. Przychodziła wiosna i wraz z nią oczekiwanie na wakacje.

Na wakacje jeździli do rodziny na wieś i był to jedyny czas, kiedy nie zabraniali Justynie bawić się z dziećmi. Zrazu nieśmiało, potem coraz pewniej zbliżała się do nich i rozumiała też więcej z tego, co do niej mówili. Można nawet powiedzieć, że miała tam przyjaciółkę, z którą chodziły zawsze oglądać świeżo urodzone prosiaki.

To była rodzina jej ojca. Ze wsi trafił do miasta po ukończeniu politechniki i już tu został, jako pan inżynier, przełożony i w domu, i w pracy. Tak przynajmniej uważała mama. Mama była dumna z ojca. Mówiła o nim „mój mąż” i lekko wydymała wargi. Nie wszystkie jej koleżanki mogły o kimś powiedzieć „mój mąż” i to stawiało jej matkę w wyjątkowej sytuacji. Lubiła też opowiadać o niej, o Justysi, ale przeważnie była to nieprawda.

Justyna nie myślała o tym, że powinna być przez matkę przytulana, a ojciec powinien był sadzać ją sobie na kolanach. Urodziła się w rodzinie bez uczuć i zaakceptowała ją taką, jaka była. Nie znała przecież innej. Matka z rzadka całowała ją w policzek i to zawsze w towarzystwie innych dorosłych, a ojciec mówił o niej „moja córka” i na tym się to wszystko kończyło. Była

jedynym dzieckiem w tej rodzinie. Ale trudno było ją nazwać rozpieszczoną jedynaczką.

Samotność nie była dla Justyny ciężarem. Skoro nie знаła innego życia, a codziennie słyszała, jakie to ona ma szczęście, że urodziła się tu, a nie gdzie indziej, przyjmowała do wiadomości, że nie można oczekiwać niczego więcej.

Usłyszała szcęk klucza w zamku. To matka wracała ze spotkania z przyjaciółkami. Zsunęła się z parapetu i poszła do przedpokoju. Matka zdejmowała płaszcz i wieszła go porządnie na wieszaku. Justyna oparła się o framugę drzwi.

– Idziemy robić obiad – stwierdziła matka. – Pomożesz mi obrać ziemniaki.

Sporo czasu minęło, zanim Justyna nauczyła się obierać kartofle. Zwykle raniła się boleśnie nożem i zaczynała płakać. To wywoływało tylko złość u jej matki i wiedziała, że nic jej nie pomoże. Następnego dnia znów będzie obierała kartofle.

– Dobrze, mamó – powiedziała cicho.

– No to idziemy do kuchni.

2.

Justynę obudziły podniesione głosy. Podniosła się i zorientowała, że dobiegały z sypialni rodziców. Matka i ojciec się kłócili.

– Nie powiesz mi, że ten twój romans trwał tak krótko. Od dawna mnie zdradzałeś.

– Nawet jeżeli tak, to co mi zrobisz?

– Nic ci nie zrobię. Skończysz tę znajomość i będziemy żyć jak dawniej.

– Słowo daję, ty nic nie rozumiesz. Ja mam właśnie tego po dziurki od nosa.

– Czego masz po dziurki od nosa? Gotowanych obiadów? Codziennie czystej koszuli?

– Nie rozśmieszaj mnie. Przecież płaciłem ci za to.

– Nie rób ze mnie byle dziwki. Za nic mi nie płaciłeś.

– Nie byłaś na moim utrzymaniu?

– Nie zapominaj, że jestem twoją żoną.

– Nie zapominam.

– Że dałam ci szczęście.

– Chyba żartujesz.

– Wcale nie żartuję.

– Co ty mi dawałaś? Czy się przesłyszałem?

– Szczęście, głupcze.

- Nie nazywaj mnie głupim. Nie mogłaś mi dać szczęścia. Nikomu nie mogłaś dać szczęścia. Jesteś zimna jak sopel lodu.
- Tak ci źle było w moich objęciach?
- Kobieto! O czym ty mówisz! Kiedy po raz ostatni współżyliśmy ze sobą?
- Ostatnio rzeczywiście się to nie zdarzało.
- Ostatnio? Od wieków nie pocałowałaś mnie nawet w policzek.
- Miałeś mnie na każde zawołanie. To nie moja wina, że z tego nie korzystałeś.
- Z czego miałem korzystać? Byłaś nieobecna. Chciałaś tylko pieniądze. Ja się nie liczyłem.
- Przecież prałam, gotowałam, sprzątałam...
- To może robić byle kuchta. Nie o to mi chodziło, kiedy się z tobą żeniłem. Chciałem mieć w domu kobietę, a nie kawał drewna.
- Nie zapominaj również, że masz córkę.
- Która nikogo nie obchodzi, ani mnie, ani ciebie.
- Myślałam, że choć córkę pokochasz.
- To małe, wstrętne stworzonko z wiecznie zamkniętą buzią i przerażonymi oczami? Po co? Co by mi to dało?
- Wiele by ci dało. Poczulbyś się wreszcie, jak we własnym domu.
- We własnym? Chyba żartujesz. Nawet nie mam w tym mieszkaniu własnego pokoju.

- Po co ci własny pokój? Jest sypialnia, jest stołowy...
 - I nigdzie nie mogę być choć przez chwilę sam. Wszędzie się za mną włóczysz. W jadalni stoisz za moim krzesłem. W sypialni wyciągasz się u mego boku. Mam tego dość!
 - A czego ty byś chciał? Willi z ogrodem? Nie stać nas na większe mieszkanie. Jasne, że mogłabym mieć dla siebie buduar, a tobie urządzić gabinet. Tylko kto by za to płacił?
 - Pewnie ja.
 - Sam widzisz.
 - Więc to moja wina, że czuję się tu jak w więzieniu? Że się snujesz za mną przez cały dzień?
 - Nie przez cały. Rano jesteś w pracy.
 - Tak. Rano wreszcie mogę odpocząć.
- Justyna podreptała przez jadalnię. Stała na progu sypialni rodziców.
- Nie kłóćcie się – poprosiła cichym głosem.
 - Obudziłeś małą! – krzyknęła matka.
 - Obudziłem? Ja? A ty szeptałaś?
- Matka wypchnęła Justynę za drzwi sypialni.
- Wyjdź stąd, smarkulo. Ile razy mam ci powtarzać, że do tego pokoju masz wstęp wzbroniony?
 - Tak, mam.
 - Natychmiast idź do swojego.

– Tak, mammo.

– No idź, bo ci ten głupi łeb rozwałę.

Justyna pobiegła do siebie, wtuliła się w poduszki i wybuchła płaczem. Na progu stanęła matka.

– Żebyś cię od tej chwili nie słyszała. Zamknij się, ty mała pokrako. Jak nie możesz spać, to przynajmniej zamknij buzię.

I huknęła drzwiami.

– Sąsiedzi będą zachwyceni – powiedział szyderczo ojciec.

– Mam gdzieś sąsiadów. Teraz liczy się tylko nasze małżeństwo. I nasz dom.

– Żartujesz! To, co się liczy, to wyłącznie twoja wygoda.

– Nie mów tak.

– A właśnie, że będę mówić. Harowałem jak zwierzę pociągowe przez całe lata. I co w zamian miałem? Krzywy ryj i wrzaski.

– Wrzaski to ty dopiero usłyszysz.

– Naprawdę? Pewnie chcesz, żeby sąsiedzi w końcu wezwali policję.

Matka zamilkła na chwilę.

– Kto ma niby wezwać tę policję? – odezwała się już w miarę spokojnym głosem.

– Tak lepiej. A teraz posłuchaj, moja droga. Odchodzę. Noga moja nie postanie więcej w tym domu. Zostawiam

ci mieszkanie. Sam wezmę samochód. Zresztą ty nie masz prawa jazdy.

– Wielka mi łaska. Zapominasz, że mieszkanie dostaliśmy w spadku po moich rodzicach.

– A więc robię dobrze. Przynajmniej będziesz się czuła w tych murach jak w rodzinie.

– A ty, gdzie ty się wyprowadzisz?

– Wybacz, ale to nie powinno cię obchodzić.

– Przeciwnie. Obchodzi mnie bardzo. W końcu jesteś moim mężem.

– Może już niedługo.

– Całe życie będziesz moim mężem. Nic tego nie zmieni.

– Rozwód może zmienić wiele.

– Chcesz rozwodu?

– Na Boga. Tak, i to od razu.

– A z czego ja będę żyła?

– To już twoje zmartwienie. Może wreszcie pójdziesz do pracy.

– Jakbym tu nie pracowała.

– Posłuchaj, moja ty gołąbeczko. Najpierw utrzymywali cię rodzice. Potem ja. Nareszcie po moim odejściu zaczniesz żyć normalnym życiem. I twierdzę, że dobrze ci to zrobi. A także i twojej córce.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Myślisz, że nie wiem, co się tutaj działo? Myślisz, że sąsiedzi mi o tym nie opowiadali? Justyna całe dni zostawała sama, zamknięta w tym mieszkaniu. A ty biegłaś do kawiarni. A kiedy wyjeżdżałem w delegacje, szłaś z jednej balangi na drugą i nikt nawet nie ugotował temu dziecku obiadu. Teraz mała pójdzie do przedszkola, pozna swoich rówieśników. Może i ona zacznie żyć normalnie.

– Kto ci o tym wszystkim naopowiadał?

– Zawsze znajdują się życzliwi ludzie.

– Też coś.

– Nawet nie mogę być pewien, czy Justyna jest moją córką.

– Zwariowałeś!

– Ciszey, na Boga, bo cię zamkną w areszcie.

– Za co?

– Za awanturowanie się po nocach.

– Jak śmiesz twierdzić, że Justyna nie jest twoją córką?

– Widocznie mam ku temu powody.

– Nigdy cię nie zdradziłam.

– Co ty powiesz? A ten przystojny lekarz z naprzeciwka? Nie zapraszał cię do barów?

– Nawet jeśli mnie ktoś gdzieś zaprosił, to nie znaczy, że szłam z nim do łóżka.

– To już twoje zmartwienie.

- Co teraz będzie?
- Spokój.
- Co ty robisz?
- Zaczynam się pakować.
- Zostaw te garnitury.
- Są moje. Nie ty mi je kupowałaś.
- Nie pozwolę ci odejść!
- A co zrobisz? Położysz się na progu? Wierz mi, że nawet w takiej sytuacji wystarczy zrobić duży krok w przyszłość.
- Kogoś poznałeś.
- Jeżeli nawet tak, to co z tego?
- Masz kochankę.
- Możliwe.
- Kto to jest?
- A co cię to obchodzi?
- Co ona ci daje takiego, czego ja ci nie dałam?
- Miłość.
- Głupstwo.
- Dla ciebie głupstwo. Ale nie dla mnie i nie dla niej. Dla nas to jest wreszcie życie w normalnych warunkach.
- Ja cię znajdę.
- Nigdy.
- Zmuszę cię do powrotu.
- Ani mi się waż.

- Będę przychodzić do ciebie do pracy.
- Ochrona cię wyrzuci.
- Mnie?
- Tak, ciebie.
- Twoją żonę.
- Już wkrótce nią nie będziesz.
- Nie dam ci rozwodu.
- Nie musisz. Sąd stwierdzi stały rozkład małżeństwa. I po sprawie.
- Nie pozwolę...
- Kochanie. Nie zauważyłaś jednego. Że to już nie jest od ciebie zależne. Że ja wreszcie nie jestem od ciebie zależny. Że to koniec.
- Przemyśl to jeszcze.
- Ja już wszystko przemyślałem. I zostawiam cię. Z tym mieszkaniem, z tymi meblami, z tą całą zatęchłą atmosferą. I z twoją córką, która mnie guzik obchodzi.

Justyna stanęła na progu swojego pokoju. Ojciec szedł do drzwi wejściowych, dźwigając dwie wielkie walizy. Jeszcze chwila i drzwi zamknęły się za nim. Pomyślała, że to jest ostatni raz, kiedy widzi swojego ojca.

Spis treści

1.	4
2.	11
3.	19
4.	26
5.	34
6.	42
7.	50
8.	58
9.	66
10.	74
11.	82
12.	90
13.	98
14.	105
15.	113
16.	121
17.	129
18.	137
19.	145
20.	153
21.	160
22.	168
23.	176
24.	184
25.	192
26.	200
27.	208
28.	216
29.	224
30.	232
31.	240